Nr. 15. Kraków, 15 Grudnia 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech: rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi: rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

NASZ PROSPEKT.

Przed rozpoczęciem drugiego rocznika „Myśli“, uważamy sobie za potrzebę i obowiązek odezwać się w krótkich słowach do naszych Czytelników, nie w celu oszałamiania ich bombastycznemi zapowiedziami i kupieckiego zachwalania towaru — co niestety prawem zwyczajowem uświęcone zostało — lecz dla objaśnienia, o ile pragnęlibyśmy od Nowego Roku wydawnictwo nasze rozwinąć i jakie w niem zmiany zaprowadzić.

Otóż, przedewszystkiem, uwzględniając z wielu stron objawione żądania --- rozszerzymy dział społeczny w ten sposób, aby „Myśl“, śledząc bacznie wszystkie objawy ruchu: naukowego, literackiego i artystycznego — dawała równorzędnie swym Czytelnikom dokładny obraz współczesnych prądów społecznych, przyczem główny nacisk położymy na wszechstronne oświetlanie spraw, dotyczących całej Polski. Pozyskawszy licznych korespondentów, będziemy w stanie najdokładniej informować o tak dorywczo u nas traktowanych stosunkach pod zaborem moskiewskim, a co dalej łączyć i zestawiać wszelkie przejawy narodowego życia w pełny, krytyczny całokształt.

Do pracy tej przystępujemy w nadziei, że Szan. Czytelnicy, którzy nam od chwili zawiązku wydawnictwa nie odmawiali poparcia, obecnie tem chętniej i skuteczniej uznają nasze usiłowania około stworzenia organu literackiego i społeczno-narodowego w Galicyi, a wówczas znajdziemy trwałą podstawę istnienia i możność dalszego rozwoju.

„Myśl“ wychodzi nakładem tych, którzy ją prenumerują. Do wydawców więc zwrócić się dziś musimy z prośbą, aby jej nadal nie szczędzili swej moralnej i materyalnej pomocy, aby ją polecali w licznych kołach swych przyjaciół i znajomych.

W najbliższej przyszłości zaprowadzimy również stały dział korespondencyj literacko-artystycznych i społecznych ze wszystkich ognisk świata, rozwiniemy fejleton „Wolne Myśli“ przez nadanie mu charakteru aktualnego, i nie zaniechamy portretowania wybitniejszych na polu literatury i nauki osobistości.

Z większych prac zamieścimy między innemi: drugą część studyum p. Wili Z. Kościałkowskiej: „O fragmentach i prozie M. Konopnickiej“ (stanowiącą oddzielną całość); nagrodzony na konkursie lwowskim dramat Adama Bełcikowskiego p. t.: „U kolebki narodu“; Dra Henryka Biegeleisena studyum: O wierszu Mickiewiczowskim „Do Matki Polki“; Brandesa: „Umysły współczesne“ i studyum: „O Maeterlincku“; Cezarego Jellenty: „Gawędy literackie i artystyczne“ (o rzeczach swojskich); J. Kasprowicza studya: „O Dranmorze“ i „Dekadentyzmie we Francyi“; rozprawę St. Rossowskiego: „O tragedyi ludzkości“ węgierskiego pisarza Madacha. Artykuły: „Ze świata dźwięków“ Galla i Niewiadomskiego, „Szkice teatralne“ Józefa Bornszteina i t. d.

Z prac beletrystycznych znajdą Czytelnicy w „Myśli“ nowele: M. Bałuckiego, J. Blizińskiego, T. T. Jeża, Orzeszkowej, Abgara Sołtana, St. Rossowskiego, M. Gawalewicza, Józefa Rychtera, C. Walewskiej i w. i. Dział poezyi zdobić będą nazwiska: T. Lenartowicza, Maryi Konopnickiej, Jana Kasprowicza, St. Rossowskiego, K. Tetmajera. A. Niemojewskiego, A. Langego i w. i.

Redakcya.

MARYA KONOPNICKA

STUDYUM

PRZEZ

WILĘ ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKĄ.

IV.

Czy poeta może być istotnie zrozpaczonym. Nie. Sprzeciwia się to samej istocie poezyi. Biadać, to już rzecz inna— najczęściej krwawa boleść najsilniej dźwięczące naciąga struny. Absolutny spokój ducha, absolutna pogoda nietylko nie odpowiadają tętnom naszego wieku, lecz nie zdołałyby długo zasilać poezyi, czerpiącej najżywotniejsze swe soki z liryki i dramatyczności. Absolutna znów rozpacz, zrywa z ideałem, bez którego niema poezyi. Zrozpaczonymi nie są ani Moor,

ani Shelley, ani Hugo, ani nawet Heine i Musset. Bądź co bądź nie był nim Byron.

Duch, sam sobie wymierzający zapłatę za złe i dobre, jest odpowiedzialnym, a zatem nieśmiertelnym. Do wyższej dostojności podnieść go niepodobna. Sam sobie jest zapłatą. W samym sobie znajduje pociechę i umrzeć mu nie trudno. *Sir not so difficult to die.* W Kaimie znów Byron pociechę z tych Manfredowych, jak szczyt Araratu niedostępnych dla zwykłych śmiertelników wyżyn, ściąga na ziemię. Za zbójem i wygnańcem pójdą wprawdzie nieubłagane mścicielki naruszonego porządku: sumienia, wyrzuty, ludzkości przekleństwa, krew przelana, łzy wyciśnięte; lecz pójdzie także cicha, kochająca, wierna Ada. Jest ona praktycznem wcieleniem spekulacyi. -- Z takim idealnym realizmem, ze smutkiem, szukającym wyjścia spotykamy się też w rodzajowo-dramatycznych obrazkach pani Konopnickiej. Liryka współczesna rozpada się na dwa odłamy: na poemat i na dramat. Pani Konopnicka poematu próbowała dotychczas, właściwie mówiąc w najwcześniejszym swym utworze: „Romans wiosenny". Dramatyczna forma odpowiedniejszą się zdaje tak prądom czasu, jak naturze talentu poetki. Poemat wymaga większego spokoju, syntezy, do której wiek nasz właśnie w zagadnieniach, które najbardziej pociągają poetkę, nie doszedł jeszcze. Zresztą, wybór formy nie jest tak niezależny, jak to się nie wtajemniczonym zdaje. Owszem, narzuca się jako zespolenie poetycznego temperamentu pisarza z przedmiotem utworu. Poezya bądź co bądź ma wiele wspólnego ze sztuką plastyczną. Zadaniem jej u prądów przyrody, człowieka i czasu pochwycony realizm wiązać z ideałem, i pani Konopnickiej udaje się to najlepiej pod formą rodzaju pośredniego: pomiędzy poematem a dramatem, w obrazkach dramatycznych. „Wolny najmita," „Sobotni wieczór," „Jaś nie doczekał", „Co pocznie," „Przed sądem" są świetnemi przyczynkami do trapiących wiek nasz zagadnień robotniczych, sądowych, oświaty ludu, nędzy, kwestyi kobiecej. „Co pocznie" wyjść mogło tylko z pod pióra kobiety, podniośle rozumiejącej cnotę i miłość, ale — i niedolę, pokusy, własne i niewłasnowolne upadki sióstr swych. „Jest nas tysiące! tysiące! z naciskiem woła, nadając szerokie społeczne znaczenie paru patetycznym wyrażeniom.

Taki znów klejnot poetyczny, jak „Jaś nie doczekał", począć tylko mogło serce matki, wpatrzone w dziecięce niedole. I ten drobny, wychudły, zdumiały z łez pełnemi oczami, z niemym wyrzutem „Przed sądem" stojący winowajca, przed niewieścią tylko wyobraźnią zjawić się mógł takim, a nie innym: Nieboże, z płowemi włoskami, co sam Bóg chyba „gładzi słońca promieniem," z perlistemi łzami, co mu za całą służą „obronę," z przejmującym sierocym chłodem, pod którego dreszczem chuda rączka podartą świtkę na nagich ściąga piersiach. Tak się i prosi nieboże, by je nie sądzić srogo, a przytulić do piersi, u macierzyńskiego ogrzać łona. Tak się i prosi, by je oświecić, nauczyć co złe i dobre, godziwe i niegodziwe. W imię „siły straconej dla wielkich celów ludzkości," w imię „przyszłości," poetka żąda rachunku „z miliona" i pyta:

„Kto więcej winien: czy ten nieświadomy
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, wpierw niż każdej chaty
Bronią od złego słoneczne anioły:
Braterstwa, prawdy, swobody, oświaty,
Co wpierw więzienia stawiacie niż szkoły,
Niechże was Chrystus sądzi......."

Tu, czyniąc zwrot wysoce artystyczny, poetka mówi:

„....Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i zimny na stole
Jako milczące w sobie łez ołtarze.

Krzyż bo zrobił już swoje, dając ludziom ideał braterstwa i miłości. Obecnością swą przypomina im najszczytniejszy ideał i milczy teraz, gdy odpowiedź wypłynąć powinna z sumienia samej ludzkości. Sama, jak ten duch w „Manfredzie" odpowiedzialną jest ona za złe i dobre, sama płacić sobie winna — jak i w tym razie zapłaci? Niechby na tem poprzestała poetka. Nie szkodzi nigdy, gdy pisarz, pobudziwszy w pewnym kierunku uczucie i wyobraźnię czytelnika, pozostawia mu coś do „dośpiewania we własnej duszy." Na domówieniach każdy utwór traci zawsze artystycznie, a etycznie rzadko kiedy zyskuje. Tak i tym razem sędzia, kładący rękę na głowie małego przestępcy z piękną sentencyą: „pójdź dziecię, ja cię uczyć każę," narusza artystyczną harmonię utworu, a nawet jego realną wartość. Bez wyrobionych filozoficznych i społecznych zasad, ideałów, poezya obecnie obejść się nie może, musi się na nich opierać, bo:

„Wiedza, to lądy ziemi,

Ależ tażsama poetka mówi, że:

„Ocean marzenie,
Obejmuje ją zewsząd w kryształów pierścienie."

Otóż trzeba, aby utwór artystyczny tak objęły, oblały „kryształy marzenia," żeby się w nich wszystko zlało w barwę, światło, w dźwięk i nastrój.

„Marzyć, to do pełnego kielicha żywota,
Dodać tę lekką piankę, co w słońcu migota
Atomami dyamentu....."

Na nic się zda, jak etykietę, nalepiać receptę ingredyencyj, z których się brylantową wydmucha piankę. Lutnia bez retorycznej obejść się może struny, a objektywność pani Konopnickiej daje już miarę umysłu jej i charakteru. Szerokiemi zaprzątnięta troskami. nie przygląda się samej sobie, zwyczajem wielu poetów, uważających się za oś wszechświatów. Nie kwili obyczajem.... poetek. Skarży się często, lecz nie na krzywdy motyle i nigdy na własne. Ręce nad ogólną łamie nędzą, a z mnogich strun, które potrąca, przebiegając gamę namiętnych wzruszeń, jeremiaszowych biadań i sielskich rzewnych piosenek, najsłabiej pobrzękuje nuta erotyczna. Wówczas nawet, gdy woła na ukochanego „Pójdź za mną", wiedzie go w szlaki uskrzydlonych i po tem tylko poznać można kobietę, że na tych szlakach świetlanych ciemno jej bez „jego" myśli błysków, że śród słońc zimno jej bez „jego" tchnienia ciepła i siły mdleją bez „jego" ramienia podpory. Kobiecość tak zdradzona, nie narusza podniosłości wołania, użycza mu wdzięku i drgania rzeczy odczutych, przeżytych.

Poetka ta rozumie miłość, choć rzadko ją opiewa, jak rozumie wszystko. co jest treścią ducha. W powszechnie znanym wierszu „Do kobiety" zaznaczyła swój pogląd na stanowisko niewiasty. W rozmiłowaniu jej szczególnem w greckim świecie i greckich wzorach tkwią też może pewne wskazówki co do pojmowania miłości. Grecya jest pierwowzorem pogody, zespolenia formy z treścią, materyi z duchem i to tak, że nie duch malał i grubiał, lecz przeciwnie: materya, że tak rzec można, uduchowniała się, przepojona światłem piękna. Miłość u starożytnych nie nurzała się wprawdzie w obłokach, w mgłach nie rozwiewała; cielesną była i zmysłową, lecz choć naga, choć z krwi i ciała, z duchem nie zrywała, zgorszeniem nie była. Zgorszenie z obłudą chodzić zwykło w parze i w tym względzie to nasz wiek raczej smutnie się w dziejach etyki i sztuki zaznaczy. Pod muślinami, któremi osłania przyrodę, dzieją się często brzydkie zboczenia, pod omawianiem, wstrętne tajemnice, i gdy miłości anielskie usiłuje przypiąć skrzydła, raz wraz z nią spada do patologicznych zboczeń zasadzki. Ciekawym przyczynkiem do naszych obyczajów, ilustracyą świętoszkostwa z jednej strony, z drugiej wyuzdanego cynizmu literatury i sztuki, są

ladacznice, pozujące na matrony, ubiegające się o palmę ladacznic skromnisie, gorszące się lada słówkiem, a w ciszy kotary rozważające elokubracye sensacyjnego raczej niż „naturalistycznego“ romansu; świętoszkowie, spuszczający oczy przed nagością Fryny, a w prywatnem swem życiu na wszelkie pochopni wyuzdania; matki tak przezorne, że strzępkiem bibułki zaklejają lada biust obnażony w ilustrowanych pismach, a niezdolne wskazać synom ideału.

Nie tak chowano w Grecyi efebów. nie tak chowano dziewice: obywateli i obywatelki. Miłość jednoczyła się tam z wyobrażeniem przyrody, cnoty i niewieściej godności. Kwieciem była i koroną istnienia, nie zaś wstydem lub grubą jego koniecznością. Spójrzmy na Klaudyą, którą pani Konopnicka ożywia zdrowem Grecyi tchnieniem. To co piękne, złem byćże może?

Na Romę pada deszcz kamieni. Rozgniewane bogi bliskie, a niechybne obwieszczają klęski. By gniew bogów przebłagać, klęski zażegnać, wyrocznia każe wieść w mury miasta posąg „wiecznej bogów Matki“. Lecz któż godzien dotknąć świętości? Sam chyba Scypio Korneliusz znany z cnoty i surowości obyczajów! Już statek z boginią dopływa do brzegu, a wybrzeże zaległy niezliczone, niecierpliwe tłumy. Wtem na ruchomej znieruchomiał fali. Cóż go więzi, jaka moc złowroga? Ha! te tam opodal czółno „jak kwiat rzucony w wodę w zadumy godzinę“. U steru numid siwy, w czółnie samotna żeglarka:

W stronę flotyli zwróciła swą głowę
I oczy duże, oczy opalowe
Utkwiła milcząc w źrenicach Scypiona.....“

Spłonął Scypio i oczy opuścił ku ziemi. Próżno wioślarze zginają ramiona. Statek stoi jak wryty. Widocznie nieczysta więzi go siła. „Klaudya!“ szepnął ktoś w tłumie, wskazując kołyszące się na modrej fali czółno. Klaudya! sto ech syknęło i matrony, obyczajem niewieścim, zjadliwie spojrzały

„Na tę samotną i na tę niedbałą
O świat i ludzi i wrzawę ich całą
Na tę milczącą dumnie i wzgardliwie.“

W ustach ich zawrzało zwykłe w słowniku zazdrości słowo, którem żony piętnują wszelką nad sobą wyższość: „zalotnica“. Za podejrzeniem leci potwarz, za potwarzą..... kamienie. Zwykła kolej rzeczy. Już jeden z celnych pocisków zranił żeglarki ramię, numid maszt wyrwał i w tłuszczę nim godził, lecz go wstrzymała oszkalowana:

„Niechaj się nigdy słaby nie znieważa
Walką z silniejszym.

Czemuż nie dodała: wyższy z niższym, szlachetny z motłochem? Klaudya odwołując się do sądów bożych, rzuciła na fale swą przepaskę: niech świadczy o jej niewinności. Płomienie buchnęły z piersi Scypiona, skoczył w morze i znikł wśród odmętu.

„Dopłynął Scypio do łodzi, wzniósł głowę
I patrzał chwilę płomienny, to blady
W czarne źrenice milczącej żeglarki....
Potem rzekł głośno „wierzę“ i owinął
Rzuconą wstęgą rękę i od barki
Potężnym ruchem zwróciwszy się płynął.“

Miłość i wiara dokazały swego! Zachwiała się flotyla, do brzegu dopłynęła z bogini posągiem.

Drugi znów Scypio („Tarcza Scypiona“), gdy mu wojenne losy przepiękną dają brankę. choć płowe żary afrykańskiego słońca roztopione złoto leją mu w żyły w samotnym namiocie, i choć mu duch jeden „zasłaniał mdlejące ziemie“

„Cały się w nagłe mieniąc błyskawice
W serca drżącego przyspieszone tętno,
W jakąś pieszczotę niepomną, namiętną,
W woń konającą na zdeptanym kwiecie....

drugiego usłuchał ducha; wolnością piękną obdarzył brankę, nagość jej bohaterską swą osłonił tarczą!

„....w pokoju idź do swego grodu
I powiedz mężom swojego narodu
Że Scypion uczcił wolność niewolnicy.

Największym pono zwycięzcą zawsze będzie ten, kto sam siebie zwyciężyć potrafi, kto z walki żądz uniesie nienaruszoną ludzkiej godności palmę i w „niewolnicy“ wolność uczcić potrafi.

KAIN.

POEMAT.

Leconte de Lisle'a.

(Tłum. z franc. A. Lange).

Niewyczerpana radość z życia się wyłania,
Nieogarniony uścisk ziemi i nieb zorzy
W wielkim sercu wszechświata jedną miłość tworzy
A niewiasta śród wiecznej czci i miłowania
Nieśmiertelne swe syny w pocałunkach mnoży.

A jutrznia, co się usty śmieje różanemi
Tej kołysce czarownej śląc uścisk codzienny
Nowe bóstwo przyzywa do wiecznie wiosennej
Szczęśliwości. Jam wzrastał śród tych blasków ziemi
Niewinny, czysty, piękny młodością niezmienny.

O Raju, zkąd przed czasem zostałem wygnany!
O! świetlane, czarowne, o, krótkie widzenie!
O ty ogrodzie szczęścia, Edenie! Edenie!
Oto widzę gwałtowne marzeń mych przemiany
I na próżnym błękicie miecze i płomienie.

Edenie! o, najdroższa i nasłodsza maro!
Ty, o której wciąż śniłem w bezowocnych łkaniach
Mury twoje zamknięte na wieki: W tułaniach
Wieczystych mię przekleństwo ściga straszną karą
I tyś mi utraconem słońcem w mórz otchłaniach.

Z nagiem łonem i bosa moja matka Ewa
W samotności, gdzie głód ją nęka i mróz ścina
Jej członki; konająca prawie się ugina
I z krzykiem zgrozy w cieniu zatrutego drzewa
Rodzi Twoją ofiarę, o Jahweh, Kaina!

O nocy, o straszliwy w lazurze płomieniu
Złamane cedry, wichrów ryki, wiry fali
Boleści, która w ojca mego gromem wali
Wyście towarzyszyły memu urodzeniu
I matka żarem łez swych wargi moje pali!

Cierpienie z mlekiem matki ssąc w samem powiciu
Leżałem u jej boku słaby i maleńki
Jedyny grom się zerwał na me pierwsze jęki
Bo mój ojciec złorzeczył tylko memu życiu
A matce brakło dla mnie śmiechu i piosenki.

Tej rozpaczy pierwotnej nędzny spadkobierca
Powitałem wygnanie, w którem duch mój jęczy.

Cóżem uczynił? Czemuż, gdym ujrzał blask tęczy
Nagiemu i słabemu on nie wyrwał serca
Zanim w mężu zahuczy krwi potok gorętszy.

Uniesiony na falach tej nocy pierwotnej
Jak dusza bezowocnem marzeniem płacząca
Czym ja utwierdził otchłań, czym zapalił słońca,
Czym ja ożywił prochy w ich ciszy samotnej
Czym ja był Tym, co pokój wiecznych snów roztrąca?

Czym powiedział bezwładnej, nieruchomej glinie
„Cierp i płacz! Czylim dał jej zakon z żądzą razem?
Nieuchwytną tęsknotę za szczęścia obrazem,
Marę nieśmiertelności w nicestwa godzinie?
Czym karał chcieć i karał, że szła za rozkazem?

O, nędzo! czym ci mówił bezlitośny Władco,
Który istoty żywe nienawistnie smagasz!
Ty piorunny za żadną łzą się nie ubłagasz
Życie jest dobre! Chcę się urodzić! Lecz na co
Mi życie, za tę cenę jaką Ty wymagasz?

Raduj się. Oto Kain urodził się. Stoi,
Jako cedr, zapatrzony w dole nieboskłonu
I błąka się w noc ciemną po skałach Hebronu
I głuchą czuje boleść w sercu swem i roi
Że ziemia jest więzieniem stęsknionemu łonu.

Wszystko się skarży, gwiazda płacze, góra jęczy,
Westchnienie płynie z lasów głębi tajemniczej
Puszcza toczy swe piachy w skargach i goryczy,
Ponura noc w rozpaczy, co jej łono dręczy
Niby ujęty w sieci lew, boleśnie ryczy.

A ja na głazach stoję w smutku pogrążony
I ludzka rodzina we śnie odpoczywa
Nieustannie mnie gryzie tęsknota straszliwa
I widzę płomiennego miecza blask czerwony,
Co niby zorza świeci lazury oblewa,

I widzę jak śród mroków przez błękity kroczy
Odwieczny strażnik. Cherub z włosami świetlnemi
Duch promienny z sześcioma skrzydły ognistemi
I w głąb mej duszy wbija surowe swe oczy
I staje na przeklętej od Jahwehgo ziemi.

I gniewną twarz mi blaskiem olśniewa i zwie mię:
— Kainie! — Czego chcesz Cherubie od Kaina?
Otom jest! Idź się modlić i spać. Twa rodzina
Człowiek, natura, wszystko w zapomnieniu drzemie,
Szczęśliwy, kto nie walczy i kolana zgina.

Czemu tułasz się ciągle pod mroków osłoną,
Jak wilk — i tęsknem okiem patrzysz ku niebiosom,
Dalekiego Edenu! i ku jego rosom
Wiecznie wyciągasz wargę twą nienasyconą!
Nachyl kark, niewolniku i poddaj się losom.

Idź w twą nicość robaku! I cóż bunt twój znaczy
Wszechmocnemu, którego wszelki twór się lęka —
Na wodę, która szemrze, czyliż ogień baczy
Czy wiatr słucha, jak jęczy martwy liść w rozpaczy?
Klęknij! — Nie, ja stać będę! Nie, Kain nie klęka!

Nikczemnik niech całuje stopę, co go depce,
Niech czci swoją sromotę, niech ofiary pali
Swym mękom; poniżeniem niech spokój ocali
Jahweh niech błogosławi w ich hańby kolebce
Nienawiści, co kłamie, bojaźni co chwali.

Ale ja nie uklęknę! Od mroku do świtu
Ja nie ustanę wołać w gniewie i rozpaczy
Co serce me rozdarte pragnie i majaczy
Żądza sprawiedliwości, Cherubie z błękitu,
Pali mię! Zduś me łono! Nie zegniesz inaczej!

I Mściciel skończył mówić. Od równi głębokiej
Na szczyty gór powtarzać wnet jęły otchłanie
Potężne echo głosu, co w kolejnej zmianie
Długie chwile skroś głuche wirowało mroki
Później, ostrego wiatru zahuczało wianie.

I Togorma nie widział już bestyj ryczących
Ani mężów Enochii, ani męża Gehenny
Wszystko znikło. Milczenia rozwinął duch senny
Swe ołowiane skrzydła pośród tworów drżących,
Później nagle niebiosa rozdarł grom płomienny.

I rozdarł wodospadów niebieskich pieczęcie
I nietknięte jeszcze tej ziemi pokrywy
Z długim dreszczem zatrząsł się wszelki twór żywy
I w olbrzymich strumieni ponurym lamencie
Jął z mroźnego sklepienia padać deszcz straszliwy.

A potem jakieś głosy ze wszech krańców świata
Tajemnicze, nieznane, głuche, bezimienne
Napełniły niebiosów przestrzenie bezdenne
I na ziemię spływały. Toń mórz popielata
Wyła rozpacznie, łoże rzuciwszy kamienne.

I toń szła, szła i każdej wzrastała godziny
I fale się wznosiły, zalewając góry
Lub rzucały swe bryzgi wysoko na chmury —
Lecąc ku błyskawicom z swej szarej niziny
Niby wąż, co rozwija swoich węzłów, sznury.

Szła i jednym orkanem zalewała szumem
Równie doliny, puszcze — i lawiną spada
Na miasta i na ludzi przerażonych stada
I przebiega nad bestyj przerażonych tłumem
Dla których ostateczna nadeszła zagłada.

W gęstem powietrzu, ruchem wzlatując kołowem
Wielkie ptaki, zwiesiwszy dziób i drżącą szyję
Ciężkie od deszczu, w zgrozie widzą jak się kryje
I znika szczyt za szczytem pod morzem grobowem
I mkną wciąż ponad otchłań, a wciąż groźniej wyją.

Ciemne duchy nad chmurnym stały nieba stropem
Jako zagłady ziemi świadki niewzruszone
I czekały, aż wszystko będzie wypełnione
I aż ponad powszechnym zawładną potopem
Próżni, głuchej i ciężkiej wody nieskończonej.

I w końcu, kiedy słońce, niby puste oko
Które nie widząc, patrzy w rozdarte otchłanie
Ostatnie pogrążyło pary w oceanie
Kiedy świat pod ostatnią potu nieb powłoką
Zamienił się w powszechne cmentarne posłanie.

I kiedy szczyt najwyższy wód zalały piany
Togorma zbladł i zatrząsł się od stóp do głowy
Widząc jak Mściciel Kain, wieczny wróg Jehowy
Szedł z podniesioną ręką przez mroczne tumany,
Ku potwornej zbawienia arce potopowej

I zbudził się z proroczych snów za murem miejskim
Nad Khobarem uśpiony niewolnik Assura
Togorma, mąż Widzący, syn Elma, wnuk Tura
I opisał swe widzenie w języku chaldejskim
Na skórze oślej; klinem trzcinowego pióra.

Z DZIEJÓW ROZWOJU UMYSŁOWEGC W POLSCE.

(Dokończenie).

Rozumie się, że i tu początkowo musiano się liczyć ze względami teologicznymi, a „pewniki naukowe przyjmowano o tyle, o ile nie obrażały podań biblijnych“. Pojęcia ówczesne charakteryzuje dwuwiersz „Do Kopernika“ napisany przez jednego z uczniów Bohomolca i drukowany za jego aprobatą:

„Mówisz, że słońce stoi, ziemia w koło chodzi;
Gdyś to pisał, pijany byłeś, albo w łodzi“.

Niemniej przecież „uprawa nauk przyrodniczych i ścisłych stała się wśród wykwintnych warstw ostatniej ćwierci wieku XVIII — modą, a dla klasy inteligentnej — nieodzowną potrzebą“. Nieodłączny od rozrostu nauk przyrodniczych i zamiłowania do nich u ogółu — sceptycyzm religijny ogarnął przedewszystkiem wyższe warstwy społeczne, które przez podróże i lekturę pisarzy obcych, wchłaniały w siebie krytycyzm filozoficzny zachodu, podkopujący wiarę w podania biblijne i dogmaty religijne. Inteligentne warstwy społeczne owładnął ateizm i deizm, a koryfeusze literatury francuskiej, jak „sławny pan Voltaire“, i „sławny pan Jan Jakób Rousseau“ budzili, pomimo usilnych przeciwdziałań reakcyonistów wielkie w piśmiennictwie i społeczeństwie polskiem zajęcie. Do osłabienia wiary przyczyniali się zresztą sami księża „trybem życia, dalekim od zasad ewangielicznych“. Jedyną zaporą przeciw niedowiarstwu były zakony, którym atoli zbywało na odpowiedniem wykształceniu. Wolnomyślna literatura francuska wyparła z piśmiennictwa i życia polskiego kierunek teologiczny, a na jego miejsce wprowadziła — racyonalizm. Prawo natury stało się podstawą etyki, wyzwolonej zupełnie z pod wpływu katechizmu a postulata „religii naturalnej“ streszczały się w humanitaryzmie i uszczęśliwieniu ludzkości. Pod hasłem: „budować więzienia dla występku, a stawiać ołtarze dla cnoty“, powstawały związki t. zw. wolnomularzy albo masonów, mające na celu „zrealizowanie wielkich zadań humanitarnych“. Przeszczepione do Polski około r. 1743, z właściwą im symboliką średniowieczną, rozwijały się tu żywo i pociągnęły do siebie najznakomitsze i najwybitniejsze jednostki, które licznie się do nich garnęły. Zasady, któremi się kierowała masonerya, a mianowicie: tolerancya wyznań, walka przeciwko przesądom stanowym, uznawanie wszelkiej formy rządu państwowego itp.; praktyczna uprawa i popularyzowanie wiedzy w odczytach i wydawnictwach; kult dla cnót publicznych i domowych, wyrażany w mowach i drukach, wysokie stanowisko etyczne — wszystko to jednało jej wyznawcom sympatye ogółu i udaremniało wszelkie zamachy prawowiernych przeciwników. Naród stawał zawsze po stronie masonów, król osłaniał swoją powagą ich loże, biskupi sami bronili przed zaciekłością duchowieństwa.

Zdawałoby się, że tak świetne zwycięstwo idei naszych powinnoby oddziałać głębiej na ogół, złagodzić fanatyzm i skłonić do tolerancyi, a jednak długiego trzeba było czasu, zanim „fanatyzm pod koniec wieku stał się synonimem okrucieństwa, a tolerancya wyrazem zrealizowania zalecanej przez Chrystusa miłości.“ Objawiło się to najjaskrawiej w sprawie dysydenckiej. Najmniejsza próba, w kierunku telerancyjnym podjęta, wywoływała okrzyki oburzenia i spotykała się, jak np. w r. 1874 i później, z zaciętym oporem szlachty. Jedność religijna znaczyła w pojęciu ogółu tyle, co jedność narodowa, a fanatyzm jego, podsycali moralni przywódcy szlachty. Dopiero gwałtowne porwanie i wywiezienie w głąb kraju biskupów: Sołtyka i Załuskiego, najtwardszych przeciwników równouprawnienia, zakończyły sprawę rozstrzygnięciem na korzyść różnowierców. Uciekanie się jednakże dysydentów pod opiekę mocarstw obcych ściągnęło na wielu niechęć i oburzenie narodu i wskutek tego właśnie konfederacya barska zmuszoną się widziała, obok obrony wolności, na pierwszy plan wysunąć wiarę, „obrażoną równouprawnieniem dysydentów“. Interwencya bowiem państw sąsiednich nadała sprawie charakter polityczny; z politycznego też punktu widzenia traktowali ją nawet biskupi: Sołtyk, Krasiński i Załuski, którzy sami „dalecy byli od krwawego i ciemnego fanatyzmu“. To też pierwiastek polityczny, wmięszany w sprawę dysydencką, zepchnął proces kształcenia się w narodzie uczuć tolerancyjnych z drogi prawidłowej. Dopiero ustawa 3 maja zapewniła wolność obrzędom wszelkich wyznań, pokój i opiekę rządową ludziom wszelkiej wiary.

W procesie umysłowego przewrotu w Polsce XVIII w. niepoślednią odegraćmusiała oczywiście rolę — kwestya oświaty. Wobec nabytków zachodniej cywilizacyi, dotychczasowy ustrój szkolny nie mógł się ostać dłużej; to też ustanowiona konstytucyą z 15 października 1773 roku Komisya edukacyjna (po kasacie zakonu jezuitów) podjęła niebawem pracę około nadania wychowaniu szkolnemu charakteru świeckiego. Pod energicznym kierunkiem biskupa Masalskiego, a później prymasa Poniatowskiego, uprzątnęła Komisya wszystko, „co z zamierzonym kierunkiem nauczania świeckiego i duchem czasu w jaskrawej stało niezgodzie“ i zajęła się reformą akademij i ustawą dla szkół narodowych. Na modły wszechnic europejskich zreformował Kołłątaj akademię krakowską, a Poczobut wileńską: wypędzono z nich tradycyą średniowieczną, podniesiono poziom wykładów, zwłaszcza nauk doświadczalnych i ścisłych. Starano się o zakładanie szkół elementarnych „większych“ po miasteczkach, „mniejszych“ po wsiach; ustanawiano dzielnych i wytrawnych wizytatorów — a chwalebne usiłowania Komisyi żywo popierała publicystyka i oświecony ogół. Równolegle zaś z reformami szła walka z klerem, wypieranie duchowieństwa z posterunku, zajętego przez nie w dobie panowania reakcyi katolickiej.

Podstawę zatargu stanowiło pierwotnie uchylanie się duchowieństwa od zobowiązań prawnych, pochodzących z czasów dawniejszych — a zawikłania natury lokalnej zamieniały się często na sprawę ogólną. „Rola polityczna, jaką kler odegrał w przeszłości; sposoby gromadzenia bogactw i zażywanie ich; ciemnota, rozpusta, chciwość“ — wszystko podlegało nieubłaganej krytyce pisarzy świeckich. Patryoci, którzy mieli na sercu obronę kraju, a widzieli niedostateczność środków na wystawienie armii, skwapliwie zwracali uwagę na majętności duchowne, a głosy ich popierała publicystyka postępowa w rodzaju „Zabaw pożytecznych a przyjemnych“ „Monitora“ etc. Szeregiem całym pism peryodycznych i ulotnych i niezliczonem mnóstwem broszur, rozpraw, dzieł tak oryginalnych jak tłomaczonych, walczył postęp z reakcyą i naodwrót, częstokroć z nielepszym od fajerwerków skutkiem. Z notoryczną bowiem ciemnotą gminu, ignorancyą duchowieństwa i szlachty szła w parze wartość broszur, któremi one wojowały. „Z plątaniny frazesów wielu pism ulotnych nie prześwieca ani znajomość gramatyki, ani zasad logicznych“. Nie ukróciły też nowe pędy umysłowe ducha teologicznego, ani fanatyzmu w warstwach szerszych szlacheckiej społeczności. Współczesne instrukcye poselskie i lauda sejmikowe zieją niechęcią ku innowiercom, a nienawiścią ku wolnomyślności. Prześladowano dysydentów, znęcano się nad żydami, ścigano objawy myśli niezależnej i gwałcono swobodę przekonań. Procesa o sprofanowanie historyi, wyszydzanie podań teologicznych, niedowiarstwo i t. p. a zwłaszcza srogie wyroki za te przewinienia dowodziły upornie w narodzie tkwiącego fanatyzmu, przed którym sfery rządzące „lubo nie hołdowały zbytniej żarliwości“ — ustępować musiały. Najlepszą zresztą ilustracyą usposobienia ogółu są niesłychane trudności, z jakiemi na każdym kroku spotykać się musiała Komisya edukacyjna. Intrygi jezuickie, przesąd szlachty — stawiały jej działalności nierzadko nieprzebyte zapory. Żywioł zachowawczy rósł w potęgę, skarbiąc sobie życzliwość i zaufanie nieoświeconego gminu i sfanatyzowa-

nych warstw, w których nałogach potężną dla swych widoków politycznych znalazła dźwignię — konfederacya targowicka. Dla pociągnięcia ku sobie mas wystąpiła ona z hasłami najskrajniejszego wstecznictwa, ścigała najniewinniejsze objawy wolnomyślności... Konfederacya targowicka z sojuszniczką swą „wielką monarchinią“ miała się za mścicielkę, jaką „święta Opatrzność wzbudziła... na poskromienie... swywoli filozoficznej“. Zawieszenie najpożyteczniejszych wydawnictw, zaprowadzenie cenzury kościelnej i zakaz „schadzek i klubów“ — były pierwszemi owocami przemożnego wpływu... Targowiczan.

Najcięższe i najdotkliwsze uciski i represalia nie zdołały jednakowoż zetrzeć z owej epoki wspaniałego znamienia cywilizacyjnego i kulturalnego postępu. „Na schyłku XVIII stulecia, szlachcic szczerze katolicki śmiał się z ojców, że „jak dawni Grecy, albo Rzymianie wszystko prawie w urojonych cudach widzieli“; drwił z „głupiej filozofii perypatycznej, a wielbił rozsądek, któremu prawa należne wywalczał wiek oświecony“.

Streściliśmy pobieżnie przewodnie myśli, zawarte w dziele p. Smoleńskiego, uogólniając wedle możności podane w niej odrębnie i zszeregowane w licznym ciągu fakta. Staraliśmy się jaknajmniej zwracać uwagi na epizodyczne ustępy opowiadania, których w książce jest olbrzymie mnóstwo i które nadają mu nadzwyczajną żywość i wyrazistość, ale obfitością swoją często oszałamiają. Autor na wstępie do swego dzieła usprawiedliwia się wprawdzie z luk i niedostatków, nieodłącznie związanych z każdą próbą, łamiącą pierwsze lody; jedyną jednak wadę książki upatrywalibyśmy nie tyle w „niedokładnościach“, ile raczej w układzie i usystematyzowaniu rozporządzalnego materyału. Jako zlepek pojedynczych artykułów, których spójnię stanowi wprawdzie jedność przedmiotu, ale nie związanych z sobą ciągłością opowiadania — zdradza książka p. S. brak przejrzystości i jednolitości. Stąd niezawodnie pochodzą też częste powtarzania i sprzeczne czasem twierdzenia i poglądy (np. rozdziały II—IV, a rozdz. VI, traktujące o wpływie prądów zachodnich na ogół; lub IV. a VIII, omawiające sprawę religijności i niedowiarstwa i t. p.) Są to oczywiście usterki drobne i nie zmniejszające bynajmniej naukowej wartości i wagi dzieła p. Smoleńskiego; utrudniają one jednak przeciętnemu czytelnikowi zoryentowanie się w masie pięknych i zajmujących szczegółów, czego ogólny pogląd na całość, zawarty w „zakończeniu“, w zupełności mu nie zastąpi. Żywimy jednak przekonanie, że znakomite dzieło naszego historyka, mimo to, a może właśnie dlatego, znajdzie szerokie koła czytelników wśród tych warstw, które się umysłowym i społecznym ruchem tak u nas, jak i w całej Europie żywiej zajmują. Znajdą one w niem masę szczegółów nowych, ważnych i ciekawych.

Ignacy Suesser.

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

XIII.

Uwagi na czasie. — Rocznica śmierci Mozarta. — Z wystawy. — Z teatru.

(w. k.) Jakim będzie *fin de siècle*, czy po myśli p. Łuskiny, czy po myśli Bismarka: czy na modłę Pobiedonoscowa i Apuchtina, czy według przepisów Bebla i Liebknechta, nie warto dziś o to się spierać. Ludzkość miewa zawsze choroby ciała i gorączki teorematów, klinikę i wstrząśnienia polityczne i społeczne, chwile aberacyi i epoki ideałów, a zawsze instynkt zachowawczy, który od abdykacyi z życia ochrania. I jakiekolwiek dary ofiarują nam przyszłe lata, czy to będzie puszka Pandory, czy dar Ducha Św., czy tuman szatanów, czy hetmaństwo myśli Bożej, wszystko to poza mgłą niepewnego jutra, wszystko pytajniki do książki polityka i socyologa. Ale niema pytajników dziś, gdy to „dziś“ bez mgły, wyraźne, jasne, strasznemi konturami ogólnej biedy groźne, dławi jakąś grypą ekonomiczną. W całej Europie stosunki ekonomiczne niezdrowe, wszędzie opędzanie potrzeb dnia dzisiejszego na rachunek jutra. Rosną długi państw w miliardy, miast w miliony, wielkich dóbr w krocie, małych w dziesiątki tysięcy, a długi osobiste w tysiące, lub bodaj setki. Nastała epoka długów i dłużników, epoka sztucznego bilansowania i kuglarskiej fruktyfikacyi kapitałów. U nas niema obrotów wielkich, milionowych, więc niema berlińskich bankructw, ale też zastój tem przykrzejszy, tem dotkliwszy dla dobrobytu ogólnego.

Jest coś w charakterze tych czasów, jakby przyparcie do muru, sytuacya bez wyjścia. Cele militarne pochłaniają nieproporcyonalnie dorobek pracy, a trzeba tej ofiary, by zabezpieczyć pokój, tak potrzebny, tak upragniony, wobec tej strasznej monstrualności uzbrojeń, któreby wojnę uczynić musiały wzajemną rzezią narodów. Pokój przedłuża znowu ten stan chorobliwy w ekonomicznem życiu.

Którędy droga, by wyjść na czyste pole? Nikt zapewne jej nie zna, nikt pierwszy jej nie poszuka, by nie zejść ze stanowiska, na którem wszyscy przeciw wszystkim z bronią w ręku czatują. Na tem tle, bardziej ponuro, bardziej groźnie rysuje się potwór głodu w Rosyi, wiedźma biedy w Europie, zmora niedostatku u nas.

Tegoroczna drożyzna już tygrysim skokiem posunęła się ku granicom dotąd nieznanym. Dotąd wzrastała zwolna nieznacznie, posuwała się zaczajona z roku na rok. Na tegoroczny skok jej tygrysi nie było wcale przygotowania. Dawniej krzyczeliśmy, gdy drożyzna utrudniała życie, a dziś, gdy je dławi, już tylko stękać można, bo i sił do krzyku nie starczy. Kupiec, przemysłowiec, rękodzielnik podniosą cenę produktu lub wyrobu i do pewnego stopnia zrównoważą bilans, ale urzędnik co uczynić może?

Dotąd dola urzędników była smutna; obecnie staje się rozpaczliwa. Czyż nie pójdzie za tem osłabienie funkcyonowania wszelkich aparatów urzędowych, gdy funkcyonaryusze będą głodni i głodne dzieci w domu pozostawią? Nie przesadzamy. Weźmy ołówek, policzmy:

Oto urzędnik w IX randze, czyli o stopniu kapitana, a więc komisarz starostwa, adjunkt sądowy, profesor gimnazyalny itd. Płaca roczna wraz z dodatkiem aktywalnym 1300 złr., lub 1400 złr. rocznie. Mieszka z żoną i pięciorgiem dzieci w trzech pokoikach, w bocznej ulicy i płaci za nie 400 złr, rocznie. Ma jedną sługę, której pensya wynosi rocznie 60 złr. Na opał i światło (jedna lampa) musi wydać co najmniej 100 złr., licząc tylko $^1/^2$ litra kamfiny dziennie i po pół cetnara węgli na dobę, przyczem drzewo na podpałkę. W ośm osób zjadają na śniadanie 8 centowych bułek, tyleż na podwieczorek, przyczem wypijają 2 litry mleka. Czyni to 36 centów dziennie, czyli 131 złr. 40 ct. rocznie. Na obiad jedzą 1 kilogram mięsa w ośmioro, co rocznie czyni 219 złr. Na przyprawę do rosołu i zasypkę i na przyprawę do mięsa wydają tylko 10 ct. dziennie, czyli 36 złr. 50 ct. Gotują też kwartę kawy na ośmioro, co rocznie 73 złr. wyniesie, licząc kwartę po 20 centów. Omasty biorą do obiadu tylko $^1/_8$ kila, czyli po dawnemu ćwierć funta. Omasta w postaci masła kosztuje 12 ct., czyli rocznie 43 złr. 80 ct. Na kolacyę jedzą miarkę ziemniaków, która w zeszłym roku kosztowała 9 ct., a w bieżącym 20 ct. Rocznie czyni to 73 złr. Omasta do tych ziemniaków niechby tylko 10 ct., co rocznie czyni 36 złr. 50 ct. Spożywają też dziennie tylko jeden bochenek chleba bardzo malutki za 24 centy t. j. rocznie 87 złr. 60 ct. Na sól, cebulę, pieprz, drobiazgi do jadła wydają tylko 20 złr. rocznie.

Podobno nikt nie zaprzeczy, że ci ludzie codziennie są głodni, każdy przyzna, że zbytkownie nie mieszkają, że im

w zimie nie jest ani za jasno, ani za gorąco, a jednak wydali już 1280 złr. 80 ct. Zostaje im zatem 19 złr. 20 ct. rocznie na podatek, stemple na kwity, na pranie, na odzież, obuwie, na igły i nici, na kupno garnka, łyżki, talerza, na książki, zeszyty i wogóle przybory szkolne dzieci. No i na lekarstwo w razie choroby, bo lekarz nie przyjmie honorarium od takiego nędzarza. Z tego wolno sobie panu kupić tytoniu.

A jeżeli nie pięcioro dzieci, lecz ośmioro? A jeżeli w dodatku trzeba pomyśleć o sędziwym ojcu, lub schorzałej matce staruszce? Ano oddala się sługę i zyskuje 60 złr. rocznie, ale czy to wiele pomaga?

A jeżeli też to urzędnik w niższej randze i pobiera 800 złr. rocznie, lub nawet 700 złr.? Nie! Nie patrzmy, bo chyba żółć usta wykrzywi od bolesnego śmiechu. Ci, od których domaga się społeczeństwo pełni sił fizycznych i umysłowych, od których domaga się pełnej zaparcia się pracy, ci mają w zamian: los nędzarzy.

Sprawa dodatku drożyźnianego dla urzędników państwa jest tak natarczywą, tak nagłą, że naglejszej wyobrazić sobie nie możemy. Ale w ślad zatem powinno nastąpić uregulowanie płac w stosunku do dzisiejszej wartości monety. Jestto obowiązek honoru i sumienia prawodawczych czynników.

Zbliża się gwiazdka. Niech kto inny o niej co powie, mnie po wykazanym rachunku — pióro wypadło z ręki.

* * *

(kt.) Rafael, Byron, Shelley, Chopin, Słowacki, Grottger, Mozart — oto szereg ludzi, umarłych młodo, przedwcześnie, — w pamięci ludzkiej wiecznej młodości otoczonych urokiem. Są oni, jak gwiazdy, które wyszły na niebo i nim, cudowne, całym zajaśniały blaskiem, spadły gdzieś w otchłań; są jak kwiaty wspaniałe, wprzód, nim zupełnie rozwinięte, uwiędłe; są jak dźwięki harfy pod palcami Boga, na której struna nie dobrzmiawszy, pękła.... Jaka dziwna melancholia omglewa te cienie w laurowych wieńców koronie — nie można o nich pomyśleć bez smutku, bez zamyślenia. Chciałoby się poprostu dotworzyć to, czego oni dotworzyć nie zdołali, nie zdążyli, chciałoby się ich uczucie doczuć, ich myśl domyśleć... Żal jest tych dyamentów, tonących wraz z okrętem w głębi, co nic nie wraca; żal się ma do tych ludzi przed czasem milknących, a jednak tak im z tą młodością na zimnych, bladych twarzach pięknie.

Kogo bogowie kochają, umiera młodo....

„Teraz, kiedy mógłbym iść za natchnieniem, kiedy mógłbym swobodnie tworzyć, muszę umierać“ — są jedne z ostatnich słów Mozarta, którego setna rocznica śmierci przypadła 5 grudnia b. r. Co za straszliwa tragedya! Więc ten człowiek czuł, że nie powiedział ostatniego jeszcze słowa, że nie „Don Juan“ był arcydziełem jego twórczości, że stojąc tak wysoko, mógł był iść jeszcze wyżej... I co za straszliwa tragedya w tem, że dotychczasowa jego praca nie była „według jego serca,“ że musiał się naginać, jak sam mówił umierając, do mody...

A jednak, obok Beethovena, jest Mozart największym geniuszem muzycznym, a jego „Don Juan“ nosi miano „opery oper“ i jest dotychczas niedoścignionym wzorem, szczytem muzyki operowej.

Talenta mogą się złamać; geniusz może się ugiąć, złamać się nie może, jest za silny, za tęgi; on musi być, bo jest, on jest potęgą, jak wicher, jak moc rodzajna ziemi.

I mimo tego, że cierpiał nieraz najdotkliwszy niedostatek, że nie uznany był, a czasem traktowany w najgorszy sposób, mimo pochłaniających mu czas lekcyj i obowiązków, jest Mozart sobą, jest twórcą 626 dzieł, mistrzem nad mistrze — a żył tylko 35 lat. Czy nie była to twórczość tak zadziwiająca swoją obfitością i niezłomną siłą, jak płodność ziemi?

Nie jestem ani muzykiem, ani znawcą muzyki i o działalności, o stanowisku Mozarta, jako kompozytora mógłbym tylko to powiedzieć, co powiedzieli inni. Wszyscy wiedzą, że melodya, harmonia, muzyka sama dla siebie, *l'art pour l'art,* zwłaszcza instrumentalna, ma w Mozarcie najwyższego swego przedstawiciela; podniosę tylko szczegół, z którym się rzadko spotykamy, gdy mowa o twórcy „Fletu czarodziejskiego“. Mozart dorobił muzykę do „Veilchen“ Goethego; nie słyszałem tego utworu, ale utrzymują, że gdyby twórca jego był miał takie skarby liryki, jakie miał później Franciszek Schubert, byłby prawdopodobnie najpiękniejsze na świecie pozostawił pieśni.

Taki to był geniusz wszechstronny w muzyce, jak Goethe lub Shelley w poezyi.

Mozart był bardzo nieszczęśliwy za życia, a po śmierci nawet nie wynagrodzono mu złego, którem go zasypywano, póki żył; za trumną jego nie szedł prawie nikt — było za brzydko — pochowano go we wspólnym grobie, gdyż nie było za co pochować go w osobnym.

Słyszałem niegdyś ustępy ze słynnego Requiem Mozarta, i przyszły mi na myśl słowa francuskiego poety:

Les plus désespérés sont les chants les plus beaux.
Et j'en sais d'immortels qui sont de purs sanglots.

* * *

(pr.) W galeryi Tow. sztuk pięknych znajdują się obecnie dwa obrazy Włodzimierza Tetmajera, które na międzynarodowej wystawie obrazów w Berlinie zyskiwały sobie powszechne uznanie i pochwały. Oba płótna dosyć dużych rozmiarów przedstawiają oceny z życia chłopów krakowskich; jeden, to „Kolędnicy“ pod oknami chaty, drugi, to „Rodzina“ wiejska przy stole. Co do nas, wolimy „Kolędników.“ Znamienne cechy talentu p. Włodz. Tetmajera uwidoczniają się w tym obrazie znakomicie. Rysunek śmiały i pewny, koloryt świetny, każdy ruch odczuty i poczuty niezwykle, realizm bezwzględny w traktowaniu przedmiotu, pewna rubaszność i zamaszystość nieodłączna prawie od pojęcia realizmu, naturalność i prostota, a przytem swojska jakaś, rodzima poezya, zwłaszcza w pejzażu, który jest śliczny — oto co do nas przemawia dobrego z „Kolędników.“ Z drugiej strony obraz to nieskończony, traktowany szkicowo, niecierpliwie. Ciekawy jest ten zbieg nerwowego temperamentu artysty *fin de siècle* z przedmiotem tak nie licującym z nerwami, jak chłopi, śpiewający kolędy. „Rodzina“ mniej nam się podoba; nie jest ani tak efektowną w kolorycie, ani tak śmiało, energicznie zgrupowaną, ani tak — to przedewszystkiem — oryginalną w pomyśle. Z tem wszystkiem obraz to świadczący także bezwarunkowo o ciągłym postępie młodego malarza, pomiędzy nową szkołą zajmującego jedno z lepszych miejsc. Stanowisko swoje zawdzięcza p. Włodz. Tetmajer głównie temu, że naturę chwyta na gorącym uczynku, nie poprawia jej, ani przerabia, wczuwa się w nią i odtwarza z pietyzmem, do jakiego tylko prawdziwy artysta jest zdolnym, nie dbając o filisterskie pojęcia, lub zastarzałe poglądy. Należy on do tej młodej szkoły, która dąży do usunięcia z estetycznego słownika ogólnikowego i zdawkowego wyrazu piękno, który nie mówi nic, chociaż niby mówi wiele. Wszyscy już wiedzą, a przynajmniej wiedzieć powinni, że but dobrze namalowany więcej jest wart, niż kiepsko namalowana głowa Aleksandra Wielkiego, że malarstwo niema być „Psalmami“ Krasińskiego, lub dajmy na to „O skutecznym rad sposobie“ w obrazach, i że nakoniec wszystko zależy od tego, czy artysta ma talent, czy niema talentu. Artyści to bowiem tworzą piękno, a nie estetycy. Śmiesznem już byłoby powtarzać, że teorya epopei opartą jest na Iljadzie, a nie Iljada na teoryi epopei.

* * *

(b). P. Adolf Abrahamowicz znalazł sobie nowego partnera, w osobie p. Zielińskiego (Arwina), z którym do spółki napisał „de titulo“ komedyę, a „de facto“ farsę. Nie wiemy, czy i jak długo się nowa a raczej zmieniona firma autorska w repertuarze teatralnym utrzyma, sądząc jednak z „Dobrego numeru“, to p, Arwin gorzej reprezentować będzie ów zmysł i znajomość warunków scenicznych, wydatne pierwiastki współautorskiej pracy p. Ryszarda Ruszkowskiego. „Dobry numer“ osnuty jest na tle lokalnem, tj. galicyjskiem; stanowi ono walkę dawniejszych, z przed lat dwudziestu pięciu, biurokratycznych urzędników austryackich, z nowym w tej hierarchii społecznej żywiołem, który ma uosabiać szerszy i głębszy, a nie czysto formalistyczny i dyktatorski na władzę pogląd, ma być łącznikiem pomiędzy rządem a rządzonymi. Starosta Gans, to bezwzględny biurokrata dawnego autoramentu, który uważa się za pana i władcę w prowincyonalnej mieścinie. Podobny typ w sferze sądowniczej dali nam autorowie w osobie sędziego Kropidły. Panowie ci, przekonani, że stanowiska ich są niezachwiane, nie pilnują urzędów, a natomiast starają się o coraz większy wpływ w mieście i węszą intrygi „dworskie“ przy pomocy najobrzydliwszych kreatur. Koniec łatwy do przewidzenia. Nowa era zwycięża. Komisarz starostwa, rzekomy wróg Gansa, dostaje nominacyę na kierownika władzy politycznej; prześladowany przez sędziego auskultant awansuje również, a „dygnitarze“ usuwają się niewłasnowolnie w zacisze domowe. Tyle treści. Sztuce zarzucić można przedewszystkiem rozwlekłość i niepotrzebne wprowadzenie pięciu czy sześciu osób, które absolutnie nie wpływają na rozwój akcyi, lecz przeciwnie, powodują jej wolniejsze tempo i niejednolitość. Dobrze skreślone są tylko postacie: pani sędziny i „aranżera demonstracyj“ — Kocińskiego.

Do względnego powodzenia komedyi przyczyniła się w znacznej mierze gra artystów. Na szczególne wyróżnienie zasłużyła p. Wojnowska, oraz pp. Ruszkowski, Siemaszko i Sobiesław.

„Guzik“ M. Gawalewicza — to bluetka w pomyśle nie budująca, natomiast wytworna pod względem roboty scenicznej. Młoda żonka pragnie po trzech latach małżeństwa wypróbować miłość swego pana. Zazdrość jest pono najlepszym dowodem stałości uczuć — Janina więc usiłuje podraźnić męża skłamaną opowieścią o stosunku swym do Karola i.... sama wpada w zasadzkę. Guzik damski, znaleziony w kamizelce męża, nasuwa młodej kobiecie inne podejrzenie, ztąd mała burza, która prędko mija, rozwidniając tem jaśniej horyzont kochającego się stadła. P. Żelazowski (mąż) grał dobrze, acz trochę za chłodno. P. Trapszówna (żona) miała dużo wdzięku, radzilibyśmy jednak utalentowanej artystce panować nad swym temperamentem, rola bowiem Janiny wymaga większego spokoju, tak w słowach, jak i ruchach.

O występach lwowskiego artysty p. L. Kwiecińskiego napiszemy w styczniowym numerze „Myśli“.

DLA JUTRA.

SZKIC ZAŚCIANKOWY.

Napisał

JÓZEF WAŚNIEWSKI.

(Dokończenie).

W tę porę i czeladź w kuchni spożywała kolacyę. Na dużym kominie płonący ogień rzucał migotliwy blask na obszerną kwadratową izbę, palące się drzewo syczało od czasu do czasu lub rzucało z trzaskiem iskry na ubitą z gliny podłogę; w około miski siedziało trzech parobków, forysiami zwanych i dwie dziewuchy, chichoczące co chwila z dowcipów pyzatych drągali.

Rozmowa dotyczy jeśli nie spożywanej „strawy“, to kwestyj, niewybiegających po za granice ciasnego, podwórkowego świata.

Niekiedy jaki dowcip erotyczny zabarwi gawędkę i poruszy homerycznym śmiechem szerokie biesiadników usta.

Głośny śmiech zwabił z sąsiedniej izby, kredensem zwanej, pokojówkę Julkę, która, stanąwszy w progu i rozparłszy się rękoma o futrynę drzwi, zawołała...

— Cóż wy się tu drzeta, aże w pokojach słychać?...

— A pudze i ty, jescek cię tu nie widzieli, jaka mi... gubernantka.

— Idź ty — odparła urażona.

— Prawiusko parka z tym brodatym gubernerem... Ze ją nauczył czytać to myśli już przewodzić..

— Cicho ty... forysiu jakiś...

— To cię ujadła, Walek nie daj się...

— No, ino ją dopadnę...

— Słysyta, jak to psy ujadają, wyjdźże który, a zobacz może to kto......

— A to idź.

— Ja się boję... wtrąciła leniwa Magda.

— Ja wylecę — zawołała Marysia — i wybiegła do sieni.

— Myśli, że kto po nią — mruczał z przekąsem Walek.

Po chwili jednak wróciła ale z pewną tajemniczością na twarzy; dla odwrócenia wszelakoż myśli obecnych od rzeczywistej prawdy, rzekła.

— Ulka, tatynek do cię przyszedł.

— Tatynek? ano, to niech wejdzie do kuchni.

— Kiej nie chce, powiada, cobyś ty wyszła do niego.

Pokojówka szybkiemi kroki podskoczyła do sieni; tu nie było nikogo, stanęła na progu i rozglądała się ciekawie wokoło wśród cieniów nocy, aż usłyszała wreszcie szelest i spostrzegła zbliżającą się postać.

— Ulka, to ja.

— Frasiek!... — zawołała zdziwiona — cóż ty tu robisz?

— A przyszedem do cię...

— . . . .

— Kcę dać na zapowiedzi po godach.

— Chcesz... — powtórzyła bezmyślnie — zadumawszy się chwilę.

— Tociem ci godoł, pon mnie już od św. Michała przeciec leśnym zrobił, któż mi będzie na osadzie gospodarzył. A zgodziłem się z ordynarją, bo cóżby mi było po niej!

— Frasiek...

— Cegój?...

— Kiej jo nie wiem, możebyś poczkał jeszcze?

— Ulka... Ulka — mówił z pewną goryczą w głosie — cegój czekać, czego... bo jo słychał, co ty coś mosz z gubernerem, jakieś seksty masz...

— Idze ty, to bojki.

— Bojki niebojki, a godają. Ulka, to jabym ci nie darował, Ulka — mówił drżącym głosem — jakby to prawda było, to jabym go zabił, to jabym ciebie... jabym i ciebie zabił Ulka... bo ja bez ciebie miejsca se naleźć nie mogę, co mi ano żyć bez ciebie, ty...

Z piersi Julki wyrwało się westchnienie.

Franek tymczasem stanowczym głosem pytał:

— Ulka, pomnij se, co jo mom strzelbę, a choć pojedynka to kolbiskiem dotłukę. Ulka powiedz mi, moja ty Ulka, mosz z nim co?

— Nie mam.

— Sprawiedliwie mówisz?

— Sprawiedliwie.

— Jak do świętej spowiedzi chodzisz?

— Jak do świętej spowiedzi chodzę...

— O mojaś ty złociuchna — mówił — przyciskając ją

do piersi i całując ją w policzek. Ona mu się nie broniła, po chwili odezwała się z wymówką.

— Franek, ty myślisz, że ja taka... ty nie wiesz bojkom, guberner to dobry pan, uczciwy pan..

— Cegój on po wsi chodzi, cegój on chce... on do twoich ojców chodził...

— Z dobrem słowem zajrzy...

— Może on cię chce zmanić, abo co...

— Franek, cy jo to głupia...

— To jo zaraz po godach na zapowiedzi dam, zaraz.

— A u ojców?

— Byłem...

— Kiej z wódką przyjdziesz?

— Po Trzech królach... Moja ty droguśna, pamiętajse, jakby cię namawiał na co, tumanił, nie daj się obałamucić, bo co ta jemu, cota im wszyćkim juchom panom...

— Nie mów tak Franek, powiadam ci to uczciwy pan, jemu ta nieludzka krzywda na myśli, ani nicyja.

— A cóż jego stronę trzymasz?

— Bo ja za prawdą, za świętą sprawiedliwością, mówię ci, wierz mi Franek, szczerze ci mówię.

I znów uścisnęli się — na dobranoc.

— Idź z Bogiem, a tak ciemno, byś się nie zbłąkał.

— E, pójdę drogą, trafię, ostaj z Bogiem...

Za chwilę postać jego barczysta, wysoka zniknęła w ciemnościach nocy.

Jakiś czas stała jeszcze Julka, słuchając kroków oddalającego się Franka, poczem weszła do kuchni.

Marysia z uśmiechem spoglądała na nią, nikt zresztą inny nie domyślał się romantycznego spotkania pokojówki z Frankiem Nocuniem, leśnym w niewielkich lasach pana Ostronowskiego.

Julka powróciła do kredensu, a za chwilę była już w pokoju, zawołana przez panienkę.

Pierwszy rzut swoich źrenic skierowała na poważną twarz pana Kazimierza, który, nie wiedząc nic, rozmawiał z panią Adelą o fejletonowej powieści codziennego pisma.

Spojrzała po raz drugi, sprzątając samowar, i aż cała wzdrygnęła się, już sobie wyobrażając zeszpeconą twarz nauczyciela pociskiem zabójczej broni Franka. O, bo Franek mściwy jest parobek, dotrzymałby słowa, a chociaż Julka jest niewinną i pan nauczyciel także — ona drży i boi się ludzkiego gadania i łatwowierności chłopaka.

Boi się, bo jest młodą, niewinną i bezsilną.

Pan Brzeszczot tymczasem rozmawia zupełnie swobodnie, nie spogląda na Julkę wcale, zajęty treścią omawianego przedmiotu. Julce się wydaje teraz pan nauczyciel innym, patrzy na niego z jakąś nieokreśloną obawą i w piersi rodzi się dziwne uczucie. Dotąd zawsze widziała w nim dobrego pana, teraz współczuje mu i ta przepaść, dzieląca ich, znika. Franka kocha, bo to dorodny parobczak, a jeszcze więcej wydaje się jej milszym — bo się z nią ożeni, ale czego on chce od pana nauczyciela, kiedy on taki dobry, taki uczciwy i ....

— Ładny, dorodny pan — półszeptem, pierwszy raz myśl ta w tej chwili zrodzona wybiega jej na usta.

Gdyby on był parobkiem wiejskim, chłopem, być może Julka by go wolała, nie chciałaby Franka wtedy, kto wie... kto wie...

Julka westchnęła, wychodząc z pokoju.

Wyszła, ale za nią pobiegł w myśl obraz pana Kazimierza.

Jak to czasem w ludzkiej duszy dziwne powstają uczucia, wręcz przeciwne oczekiwaniom, wywołane mało znaczącym faktem lub niebacznem słowem. W ludzkiej duszy dziwnie odbywają się te wrażeniowe procesa uczuć i pojęć; zagadkowe wielkie skutki z subtelnych małych, nie dających się dostrzedz przyczyn zazwyczaj powstają, wydając się największym umysłom olbrzymią, nie odgadnioną psychologiczną zagadką.

Ale wszystko przyczynę mieć musi.

Pan Kazimierz o polowaniu nic jeszcze nie wiedział. Nazajutrz tak jak i dni następnych pogoda dżdżysta zatrzymała go z chłopcami w domu, siedział więc w swoim pokoju czytając książkę.

Dnie takie na wsi smutne są i nudne. Umysł radby się czemś zająć niezwykłem, ażeby myśl nie błąkała się bez celu po bezdrożach marzeń i rojeń. Więc odsunął książkę i patrzył w okno, przez które widział pola i lasy i szare jak pajęczyna, firmamentu sklepienie. Było mu czegoś smutno i obco tutaj. Chłopcy pobiegli do stodół na słomę, do stajen, obejrzeć źrebaki, pan Ostronowski wyjechał na jarmark do miasteczka, a pani Adela z córką siedziały w swoim pokoju.

Dumał tak chwilę tylko, bo oto na progu stanęła panna Henryka.

— Czy można? — spytała nieśmiało.

To go zbudziło z zadumy, powstał szybko z siedzenia i postąpił parę kroków przed siebie.

— Mama prosi, czyby pan nie był łaskaw zagrać coś na flecie przy moim akompaniamencie na fortepianie.

— Z miłą chęcią...

— Tak nudno, panie Kazimierzu — mówiła miłym głosikiem — o czem pan myślał, wolno spytać?

— O tem, dlaczego dziś taki dzień smutny, człowiek jakiś roztęskniony...

— Pan to mówi? A pfe, pan daleki od ideałów, poezyi, tęsknot, uniesień romantycznych, od marzeń...

— Może też dlatego właśnie...

— A widzi pan! zimny, wyrachowany pozytywizm nie zawsze jest dobrym... Gdybym nie znała pana, posądziłabym, że się pan...

Chwilę się zawachała.

— Że się pan zakochał — dodała, spuszczając oczy.

— A czy to pozytywistom wzbronione?

— Nie... ale...

Spojrzała na niego swemi czarnemi, przenikliwemi oczyma, on uśmiechnął się ironicznie i wyrzekł, potrząsając głową.

— Nie, nie wierzę.

— W co pan nie wierzy?

— W mowę pani wzroku.

Panna Henryka z rumieńcem gorącym na twarzy wybiegła do drugiego pokoju.

Za chwilę pan Kazimierz stał już przy fortepianie.

— I panu zapewne nudzi się na wsi? — pytała pani Ostronowska — miasto dla młodych ludzi ma tyle rozrywek...

— Bezwątpienia... zwłaszcza dla młodzieży uniwersyteckiej, dla tych gorących serc, zapalonych głów, szerokich piersi... to jedna rodzina, proszę pani...

— Wierzę bardzo, żyją towarzysko...

— Inaczej być nie może — odrzekł pan Kazimierz.

— I pan to życie porzucił tak bez skrupułu i bez widoków na przyszłość — to poświęcenie.

— Które żadnych nie dało dotąd rezultatów o jakich myślałem, porzucając aulę.

— Rezultatów? — spytała pani Adela — jakich rezultatów?...

— Oświecenia w bliższem zetknięciu się z chłopem.

— Fi, to takie świetne według pana rezultaty?

— A czy pani, czytując tyle, nie widzi tego zwrotu w dziennikarstwie i w piśmiennictwie?

— Wyczerpująca się kopalnia tematów, nakazuje szukać materyału na piasczystych polach wsi — to naturalne...

— Mamo — zaczynamy, panie Kazimierzu proszę — mówiła Henryka wybrawszy wśród nut jeden zeszyt.

— Co wybrałaś Heniu? — pytała matka.

— Rapsodię węgierską.

— To za hałaśliwe, mnie dziś trochę głowa boli...

— Więc co?...

— Może Schumana „Ave Maria“...

— Zaraz poszukam...

To mówiąc przerzucała dalej nuty na etażerce, Brzeszczot tymczasem przebierał na flecie palcami i przykręcał składane jego części, oczekując na gotowość panny Henryki.

Pora nie była późna, ale do czytania nut potrzeba było światła świec, więc korzystając z czasu pan Kazimierz ustawił je na fortepianie i zapalił.

W ową chwilę wbiegła do pokoju Julka.

— Proszę pani — mówiła zadyszanym głosem — ano przyleciał Kuba wójtowej ze wsi, bo panicz starszy zleciał z konia i rozbił się.

— Wielki Boże, — zawołały kobiety jednocześnie — gdzie, co się stało!

— A no panicze pojechali na źróbkach naprzeciw pana i ogierek się czegosik strachnął, no i panicza zrzucił.

— Panie Kazimierzu, panie Kazimierzu — mówiła pani Adela — niech pan pobiegnie na miłość Boską, co się tam mogło stać... może nieszczęście jakie?

Brzeszczot okrywszy się paltotem szybko wyszedł i kroki swoje ku wsi skierował. Przed nim biegł drobnym truchcikiem Kuba Wojtkowej, mający wskazać miejsce, gdzie się chłopcy znajdowali.

Kuba zatrzymał się.

— Awolik — rzekł, wskazując chałupę ręką.

Brzeszczot przychylił głowę i wszedłszy przez nizkie drzwi do ciemnej, zabłoconej sionki szukał wrzeciądza, następnie drzwi otworzywszy, przestąpił próg wysoki. Znalazł się w izbie oświeconej łuczywem z komina.

— Pan Brzeszczot! — zawołali obydwaj chłopcy ze zdziwieniem.

— Co się stało? — zapytał nauczyciel.

— E, ino kszynka strachu — odpowiedział kłaniając się nizko gospodarz.

Rzeczywiście nie stało się nic nadzwyczajnego, chociaż mogłoby być gorzej, upadając bowiem z konia Janek rozciął sobie o kamień czoło, a krew, z rany płynąca, twarz jego zalała czerwonym strumieniem, ztąd tyle wrzawy powodując wśród nielicznych świadków wypadku.

Ale stało się.

— Państwo sie pewnikiem przelękło — mówił Lebioda, a wszyćkiego Kuba narobił.

Za chwilę nauczyciel szedł już z powrotem do dworu, strofując po drodze obydwóch chłopców za ich lekkomyślność.

— Nic się nie stało, nic zupełnie mateczko — wołał na samym wstępie Janek... Zleciałem i nabiłem guza.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu. mówiły uspokojone nieco matka i Henryka — może kolodium.

— Zagoi się i bez tego, zagoi — upewniał z kolei Florek.

Przedewszystkiem musieli obydwaj chłopcy od początku znów całe wydarzenie opowiedzieć, słuchając co chwila uwag matki, siostry i nauczyciela.

Za chwilę zaturkotała przed gankiem bryczka z powracającym z miasteczka panem domu.

Pan Ostronowski nie sam przyjechał. Za bryczką jego toczył się wózek pana Klemensa Zagonowskiego, właściciela sąsiedniej wioski, z którym pan Feliks żył w przyjaźni i z nim też wszedł właśnie do pokoju.

— Sąsiadce dobrodziejce — wołał od progu — całuję rączki, sąsiadce dobrodziejce...

— Witam, witam pana, rzadki gość — mówiła pani Adela, wyciągając rękę do przybyłego.

Pan Zagonowski, odgarnąwszy zamaszyście szpakowate wąsy, z apetytem smoka złożył na białej rączce kordyalny pocałunek. Poczem, poprawiwszy wiecznie przekrzywiony krawat, pytał dalej o zdrowie panny Henryki i chłopców...

Przybyły sąsiad nagadawszy się widocznie przez drogę z panem Feliksem, a może też przez szczególną dla dam galanteryę tutaj głównie rozmawiał z panią domu. Po wyczerpaniu się rozmowy o stanie zdrowia całej bliższej i dalszej rodziny Ostronowskich, gawędzono o gospodarstwie, o sprzętach tegorocznych, o polityce i o mającem się odbyć polowaniu. Nagadano cokolwiek o sąsiedztwie, o bliskim karnawale, o biedzie, wreszcie pan Zagonowski wtrącił słówko o własnym synu, który wyuczywszy się na licznych praktykach agronomii, świetnie ojcu swemu gospodarstwo prowadzi.

— Chłopak pod wąsem pani dobrodziejko — mówił, kłopot mam, trzebaby go ustalić, ożenić, boć każdy musi w życiu choć raz zrobić to głupstwo.

— Ranne wstanie... odrzekła pani Adela i wczesne ożenienie...

— Słuszna racya, ja także tak zrobiłem i nie żałuję, choć to były gorące czasy, gorące...

W godzinę potem pan Zagonowski żegnał się z mieszkańcami leszczynkowskiego dworku, całując rączki pań, oba policzki panów, upadając do nóżek wreszcie gościnnym a tak wzorowym gospodyniom, jak pani domu i panna Henryka. Brzeszczotowi, podsadzającemu go do bryczki, szepnął na ostatku.

— Ożeń się profesorze, ożeń, a przyjedź że tam kiedy do mnie, przenudzimy wieczorek w preferansa...

Sympatya Henryki do pana Kazimierza rosła z dniem każdym. On niestety, wydawał jej się obojętnym, jakkolwiek grzecznym, uprzejmym, miłym...

Brzeszczot gromadził w niedziele chłopaków i dziewuchy i czytał im odpowiednie powiastki, objaśniając słowami niejedną rzecz. Uczył przy tem wielu czytać, tak że w Leszczynkach istniała prawdziwa a rozumna szkoła. Długie wiódł też Brzeszczot spory z Henryką w tej kwestyi. Panienka niewiadomo zkąd i dlaczego potępiała jego postępowanie.

Postanowiła jednakże ratować Brzeszczota z domniemanego zapomnienia, bo zdawało jej się, iż go kochała i jego serce chciała pozyskać wyłącznie dla siebie. Prawda, że bez złych myśli i rojeń, jedynie tylko dla dogodzenia swym niewinnym erotycznym kaprysom.

— Panie Kazimierzu — mówiła, gdy ten oglądał dubeltówki w pokoju jej ojca — więc to już jutro polowanie?

— Tak, być może zajedzie kto z gości za chwilę, by przenocować u nas.

— Kto?

— Może kto z dalszych okolic.

— Pan może mówi o hrabi Alfredzie — pytała z pewnym gniewem w głosie.

— Ależ broń Boże... zresztą powinno było to panią ucieszyć...

— Tak, ucieszyć — powtórzyła z ironią — pan jesteś... jesteś... kamieniem.

— Ależ panno Henryko, my się nie rozumiemy w tej chwili.

— Niech mi pani wierzy, wszystkie młodociane marzenia — to są tylko sny gorączkowe, które znikają w późniejszem życiu. Są one dobre zawsze, ale tylko jako wspomnienie i dlatego jedynie w tej fazie ich nie potępiam. Dziś...

— Dziś pan je potępia, o tak, wierzę... wyrzekła złośliwie — pan jesteś materyalistą, może nawet więcej...

Nazajutrz ciemno jeszcze było na świecie, gdy we dworze leszczynkowskim ruch już panował. Panie w negliżykach zajmowały się prowiantem, wynajęty z miasteczka kucharz dakował specyały myśliwskie na oddzielnej bryczce, mężczyźni ubierali się.

W godzinę na polance pod Śmiertnym Dębem gwarno było. Śmiech wesołej drużyny i pojedyncze odgłosy trąbki budziły śpiące w lesie ptactwo.

Franek śledził każdy ruch Brzeszczota, tłumiąc w piersi żądzę zemsty, rzucając ponurym wzrokiem wokoło. Szukał i czekał z niecierpliwością odpowiedniej chwili, by oko w oko zmierzyć się z rywalem, który w jego mniemaniu bałamucił mu Julkę.

Tu Franek aż zębami zazgrzytał.

Łopuchowski nauczyciel tak mu to przecież wyraźnie tłomaczył, jakby był przy tem... Głupia Julka — powtarzał sobie — wierzy panom i jeszcze ich przed nim tak chwali.

A może też — tu zrodziła się pewna wątpliwość w ciemnej chłopskiej głowie — może też Łopuchowski nauczyciel tylko tak przez zazdrość mu mówił... kto to wie, toć panu Brzeszczotowi lepiej we dworze, niż tam we wsi, a co pan to pan, a nie żaden... Boże odpuść...

Myśliwi tymczasem po raz czwarty stanęli na stanowiskach, odezwały się klekotki, tu i owdzie zahuczał głuchem, leśnem echem jeden i drugi strzał. Frankowi, stojącemu na samym brzegu zagajnika zrobiło się zimno i dziwnie... Tam obok, o jakich trzydzieści kroków stał Brzeszczot z wyciągniętą naprzód dubeltówką i czekał na zwierzynę... W piersi Franka serce zabiło mocniej. Iść-czy nie iść bliżej i strzelić? W piersi go coś dławiło, kłębiło się jak żmija i paliło ogniem zazdrości i zemsty...

— Raz kozie śmierć — wyrzekł półszeptem sam do siebie i zeszedł ze stanowiska.

Naganka jeszcze daleko grała hałaśliwą swoją muzykę, rozlegającą się głucho po lesie. Brzeszczot stał prawie pod samym zagajnikiem, zarosłym gęstą sośniną, której gałęzie zwarte w jedną całość stanowiły niby mur, niby zgęszczoną zieloną mgłę, przez którą można się było przedrzeć z trudnością. W tej choinie skrył się Franek, spojrzał czy kurek odwiedziony, oparł powoli na gałęzi lufę, której koniec wyglądał czarnem okiem prosto na pierś Brzeszczota. Dzieliła go przestrzeń ledwie piętnastu kroków; nie podejrzewał on nic niebezpiecznego, stał swobodnie, mając na inny punkt wzrok zwrócony.

Franek tak szeroko nie myślał. Ręce mu drżały, pojedynka ruszała się jak żywa, niby niecierpliwiąc się oczekiwaniem. Przyłożył twarz bliżej kolby, oparł ją mocniej o ramię, zmrużył oko i po matowej, żelaznej linii posłał wzrok — do celu...

— Raz kozie śmierć — powtórzył — co będzie to będzie i zacisnąwszy zęby już miał pociągnąć za cyngiel, gdy przypomniał sobie, że lufa nabita drobnym śrutem...

— Eh, loftkami trzebaby...

To zrodziło mu pewien skrupuł, wahanie zarysowało mu się w duszy wyraźniej, zaczął rozumować. Loftkami położyłby na miejscu przeciwnika, drobnym śrutem trudniej, bo i fuzya rozrzuca, i ręka drży i w oczach coś się mieni... Gdyby przynajmniej była druga lufa, możnaby zaraz z niej poprawić atak, okaleczy tylko, nauczyciel krzyknie, zlecą się panowie, Franka złapią...

Rozmyślania Franka przerwał odgłos trąbki... panowie schodzą ze stanowisk, naganka ucichła...

Franek widzi jak pan Brzeszczot się oddala.

Na polance rozłożono dywan, palą się ogniska, z kociołków bucha para...

Panowie piją wódkę, nauczyciel wziął półgarncówkę i częstuje skupioną z boku w gromadę naganką.

Poszedł i do Franka...

— Cóż, przeziębłeś... wargi ci posiniały... gól... gorzałka cię rozgrzeje.

Franek, nie śmiąc spojrzeć mu w oczy, wypił.

— Głowę mocną masz? spytał.

Nocuń się zawahał, co ma odpowiedzieć, po chwili zakłopotania dopiero rzekł.

— Słabą proszę, pana...

— To ci nie dam drugiego kieliszka, ale kiedyś przemarzł, nawiń mi się potem, jak ten wywietrzeje... żeby ci krew nie zamarzła, a dusza w lód się nie obróciła...

Franka rozbroiła zupełnie pewność nauczyciela i przyjacielski, szczery ton mowy.

— Nie, — szepnął później sam do siebie — dobry panicz, uczciwy...

Wśród myśliwych zagościł humor, trącano się coraz częściej kieliszkami, oglądano zabitą zwierzynę, gawędzono coraz głośniej.

Gromada żujących chleb wieśniaków stała opadal i przyglądała się panom i grzała koło ognia nieśmiało.

Franek śledził jeszcze okiem pana Kazimierza, który stojąc z boku, naprzeciw hrabiego Alfreda wiódł gawędę, żywo gestykulując.

W trzy tygodnie, przed dwór w Leszczynkach zajechał wójt z pisarzem, asystował im sołtys miejscowy. Wójt, prosty niepiśmienny chłop zapytał urzędowo leszczynkowskiego guwernera, czy posiada świadectwo nauczycielskie...

Niestety, Brzeszczot go nie miał.

Pan pisarz spisał protokuł, wójt przyłożył pieczęć, podpisali papier i polecili panu guwernerowi zaprzestać uczenia, nietylko ludzi na wsi, ale i paniczów, gdyż człowiek nieuczony, uczyć przecież nikogo nie może.

Nie pomogły tłomaczenia i perswazye, których wójt nietyle nie chciał, ile nie umiał zrozumieć, on wierzył przedewszystkiem tylko w czarne na białem i tego ściśle się trzymał.

Pan Ostronowski medytował już nad tem zkąd wziąść pieniędzy na szkolne utrzymanie synów w powiatowem mieście, chłopcy nie chcieli pogodzić się z myślą stracenia pana Kazimierza, Julka żałowała, że pan nauczyciel na jej weselu nie będzie tańczyć, a Henrysia...

Henrysia w swoim pokoju cicho łkała.

W przeddzień ostatecznego wyjazdu Brzeszczota z Leszczynek smutno było we dworku. Wszyscy chodzili jacyś powarzeni i posępni, nawet sam pan Kazimierz minę miał nie wesołą.

— Zagrajmy jeszcze co, panno Henryko, razem, ostatni raz...

— Ostatni... powtórzyła cicho.

— Nuty, pani sama wybierze, wszak prawda... coś wesołego, skocznego?..

— Jesteś pan bez litości.. panie Kazimierzu, nie rań mi pan do reszty... serca..

— Serca... wyszeptał. Tak, serce to najsilniejszy czynnik w ludzkiem życiu, ale czasem to najsłabsza strona człowieka choćby najwięcej zahartowanego.

Henryka spojrzała mu bystro w oczy.

— Mówisz pan to szczerze?

— Najszczerzej...

— Podzielam pańskie zdanie i... nie, nie mogę powiedzieć...

— Dlaczego? Kobieta najmilszą rozumnemu mężczyźnie jest wtedy, kiedy jest szczerą... szczerość za szczerość...

— Pan chcesz, żeby wszyscy byli szczęśliwi, wszyscy na świecie, wszyscy, wszak prawda?

— Tak pani.

— Tylko mnie ukazujesz pan to szczęście po za zabarwionem szkłem, jak wypieszczoną roślinkę w oranżeryi; czemuż ja tylko jedna mam je widzieć nie takiem, jakiem ono jest... na wichrach, na burzach, rosnące naturalnie, lecz mam je mieć tylko wybujałe pod tchnieniem sztucznego ciepła...

Brzeszczot milczał.

— Mam żyć biernem szczęściem, szczęściem innych i to jeszcze wątpliwem? Mówię to zupełnie szczerze, z całą świa-

domością kobiety, z całą otwartością rozgoryczonego serca, przez jakie patrzę dziś trzeźwiej i nie myśl pan, że dziecinna trzpiotowatość w tej chwili wywoła mi rumieniec fałszywego wstydu na twarz, że potknę się o ciężki kamień konwenansowego „nie wypada“? Nie, znam pana, rozumiem go i cenię jego szlachetność, nie dbam więc o uboczne formułki, bo wierzę, że pan z tego szydzić nie będziesz i odczujesz i zrozumiesz.

— Ach! dosyć panno Henryko... Nie myślałem, że kiedyś ujrzę w tobie tę, którą widzę... i dziś, kiedy odjeżdżam...

— Na zawsze...

— Nie, nie na zawsze, oto moja ręka, moje słowo...

— Więc wrócisz? zawołała ożywiona.

— Wrócę, po ciebie...

. . . .

. . . .

OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę. Nowi abonenci, składający przynajmniej półroczną przedpłatę, otrzymają bezpłatnie początek powieści St. Graybnera: „Mamin synek“ (5 arkuszy druku).

MISCELANEA.

† Jan Tatarkiewicz, znakomity artysta dramatyczny i reżyser teatru Rozmaitości w Warszawie (ur. 28 września 1843 r.) zmarł tamże dnia 2 grudnia b. r. Tatarkiewicz rozpoczął karyerę sceniczną ćwierć wieku temu w teatrze krakowskim. Przez ciąg lat 25 stworzył szereg kreacyj artystycznych, na które złożyły się tak wybitne pierwiastki, jak talent, inteligencya i niesłychana sumienność w opracowywaniu ról. Nie będziemy tutaj wymieniać po kolei wszystkich postaci liryczno-dramatycznych kochanków i rezonerów, jakie odtwarzał Tatarkiewicz, (jest to bowiem najodpowiedniejsze określenie charakteru jego gry) — powiemy tylko, że pierwszą z nich był kompozytor Frank w „Fortepianie Berty“ ostatnią zaś bohater w „Przeszkodzie“ A. Daudeta. Jako dyrektor artystyczny sceny dramatycznej w Warszawie, położył zasługi wielkie. Ze śmiercią Tatarkiewicza ubywa sztuce polskiej jeden z najzasłużeńszych artystów, a teatrowi warszawskiemu siła olbrzymia, którą trudno będzie zastąpić.

*** Zygmunt Kaczkowski, autor „Olbrachtowych rycerzy“ napisał nową powieść, osnutą na tle wypadków z lat: 1831 i 1863 pt.: „Zaklika“.

*** W jednym z ostatnich numerów znanego czasopisma berlińskiego: „Gegenwart“, znajdujemy piękny przekład greckiej bajki A. Świętochowskiego p. t.: „Chór niemych“, dokonany przez współpracowniczkę naszego pisma p. Malwinę Posner.

*** Nakładem Lewentala wyszła powieść Jana Zacharyasiewicza pt.: „Moje szczęście“ (ze zwierzeń kobiety).

*** Czwarty i ostatni tom pomnikowego wydawnictwa dzieł Kochanowskiego ukaże się w Warszawie wkrótce. Zwłoka w wydaniu powstała wskutek wykrycia bogatego, dotąd nieznanego, materyału archiwalnego do obrazu życia poety oraz jego stosunków familijnych.

*** W Warszawie zmarł Apolinary Pietkiewicz, znany przyrodnik, autor „Meteorologii“.

*** Guy de Maupassant kończy romans pt.: „Angelus“ (na tle wypadków z r. 1870/71).

*** Na dorocznem posiedzeniu Akademii francuzkiej uwieńczono kilka dzieł literackich. Wielką nagrodę otrzymał margrabia Bonelli za poemat „L[illegible]“ Inne nagrody dostały się Harlencourt'owi za „Mort de Wiking,“ Le Breton'owi za „Roman a XVIII siècle,“ Ernestowi Daudetowi za „Koblencyę w r. 1789—93“ Pawłowi Ginisti za sześć tomów przeglądów krytycznych, wych[illegible]dzących pod tytułem „Année litéraire,“ wreszcie Lavedan'owi sztukę sceniczną „Une famille.“

*** Bukiet dla Pań. Oto tytuł najnowszego kalendar[illegible] na rok 1892, przeznaczonego dla „płci pięknej,“ przyodziane[illegible] w nader ponętną szatę zewnętrzną — pomysłu znanego artys[illegible] malarza p. St. Fabjańskiego (juniora). Na bogatą treść literac[illegible] powyższego kalendarza złożyły się pióra najwybitniejszych belletr[illegible] stów naszych, a każdy utwór jest ozdobiony zgrabnym rysuneczkiem. Na początku kalendarza czytamy ładny wiersz noworoczny, nap[illegible]sany gładko i potoczyście. Po nim idzie wierszyk Wiktora Gomulickiego p. t. „Musisz kochać!“ napisany z werwą i uczuciem, da[illegible]lej „Wspomnienia“ autora „Lirenki“, — „Figiel Trezorka“, humoreska Blizińskiego, — nader ciekawa nowela Michała Bałuckieg[illegible] p. t. „Małżeństwo aż miło“ — zgrabna nowelka Józefa Rychter[illegible] p. t. „Piękna wdówka“ — „Sielanka“ K. Bartoszewicza i „Liścik miłosny“ Maryana Gawalewicza.

Oprócz cennej wiązanki utworów żyjących autorów, mieści w sobie „Bukiet“ wdzięczne poezyjki J. I. Kraszewskiego, wyjęt[illegible] z niewydanych pism znakomitego pisarza i prześliczną powiastk[illegible] Juliusza Słowackiego p. t. „O cudach“. Część literacko-artystyczna uzupełniają: „Rady przyjaciela,“ co winny kobiety czytać, i jak[illegible] uprawiać muzykę.

„Bukiet“ będzie miał niezawodne powodzenie u czytającego ogółu, a już chyba wątpić trudno, że znajdzie się w rączkach wszystkich naszych pań.

*** P. Wincenty Wdowiszewski, znany estetyk, wypowiedział 12 b. m. w muzeum przemysłowem ciekawy odczyt na temat: „Jak duch złego przedstawiony był w sztuce plastycznej, zwłaszcza w malarstwie“.

*** Nakładem księgarni Hoscheka i Ski we Lwowie wyszła powieść współczesna p. Kazimierza Rojana p. t.: „Tymko Medier“.

*** W wiedeńskim Burgteatrze wystawiono tydzień temu po raz pierwszy dramat G. Hauptmanna, wodza tz. „młodych“ pisarzy niemieckich p. t.; „Einsame Menschen“. Jest to rzecz napisana z wielkim talentem. Dramat Hauptmanna doznał powodzenia u publiczności i żywo zainteresował koła artystyczne.

*** W Warszawie zmarła Julia z Brzozowskich Niewiarowska, żona literata Aleksandra Niewiarowskiego (Półkozica), a s[illegible]stra znanego poety i dramaturga Karola Brzozowskiego. Ś. p. N[illegible]wiarowska od lat najmłodszych ujawniała niepospolity talent m[illegible]zyczny. Przed laty 40 występowała na koncertach w Warszawie i za granicą. Przed 1860 rokiem niektóre jej kompozycye na fortepian ogłoszone zostały drukiem. Ostatnią kompozycyę wokalną napisała przed laty dziesięciu do poezyi wschodniej brata swego Karola.

*** P. Michał Rolle, jeden z młodszych pracowników na niwie historycznej, wydał nakładem „Świata“ rzecz p. t. „Z życi[illegible] ormian kamienieckich w XVII i XVIII w.

*** W ostatnim zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ znajd[illegible]jemy bardzo ciekawą pracę dra. H. Biegeleisena p. t. „Z podr[illegible] Słowa[illegible]kiego na wschód“. W tymże numerze rozpoczął p. Kos[illegible]kiewicz druk nowej powieści p. t. „Babunia“.

*** W teatrze warszawskim będą w krótce wystawione dw[illegible] oryginalne premjery cenionych pisarzy: Edwarda Lubowskiego (p. t. „Bawidełko“) i A. Mańkowskiego (p. t. „Mędrzec“).

*** Józef Bliziński kończy czteroaktową, społeczną komed[illegible] którą [illegible] [illegible]tyczniu wystawić teatr krakowski.

*** [illegible] uczony J. K. Potocki poddaje w ostatnich num[illegible]rach „Głosu“ nader pochlebnej ocenie „Studya i szkice filozoficz[illegible] Cezarego Jellenty, którego wytrawne pióro znanem jest rów[illegible] czytelnikom „Myśli“.

*** Rubinstein pracuje obecnie w Dreźnie nad wykończeni[illegible] swej opery „Mojżesz“ i przygotowuje do druku dzieło: „O muzyc[illegible]“ które pojawi się jednocześnie w językach niemieckim i rosyjsk[illegible]

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z druk[illegible] [illegible]rządem A. Szyjowskiego. Redaktor o[illegible]ialny i Wydawca: Józef Tarczeńs[illegible]